

# Kronika tygodniowa.

Jako człowiek, miłujący nad wszystko prawdę i gotowy zawsze dla niej i za nią do największych nawet poświęceń, muszę przyznać, że co do „babiego lata” w tym roku się paskudnie pomyliłem. Twierdziłem mianowicie, że te ciepła, jakie mieliśmy przed kilku tygodniami, to lato astronomiczne, a nie „babie”, tymczasem pokazało się, że byłem w błędzie, rację zaś mieli ci, którzy utrzymywali inaczej, w szczególności zaś referenci tych spraw w *Kuryerku* i *Nowej Reformie*. Na dowód przyniesiono mi nawet spory kawał pajęczyny, ale dość nikłej. Prawdziwy towar wojenny, pozostawiający bardzo wiele do życzenia. Widocznie i pajaki, tak, jak ludzie, odczuwają też okropności wojennego czasu. Gdym porównał tą pajęczynę z przedwojenną, którą znalazłem w kącie mego pokoju, spostrzegłem już na pierwszy rzut oka ogromną różnicę, tak pod względem jej jakości, jakoteż i ilości.

I to mnie poniekąd tłumaczy. Mam słaby wzrok, więc jej też nie dojrzałem i dlatego mimowolnie wprowadziłem w błąd P. T. Czytelników, za co niniejszem przeproszam i obiecuję solennie poprawę. Ci więc, którzy w myśl mych oświadczeń czekali lub czekają jeszcze na „babie lato”, niech się pożegnają z tą myślą. Z powodów od Redakcji niezależnych odłożone zostało na rok przyszły, natomiast zaś wielkimi krokami zbliża się do nas zima i trzeba się godnie przygotować na jej przyjęcie.

W pierwszym więc rządzie radzę każdemu i każdej pamiętać przede wszystkim o ziemniakach, gdyż właśnie rozpoczyna się ich kopanie. Według oświadczenia odnośnej Centrali, mają producenci dostarczyć Rządowi dwadzieścia milionów cetnarów metrycznych, które będą użyte dla pokrycia ogólnego zapotrzebowania, co do reszty, wolno im nią w dowolny sposób dysponować, co, na zwykły język przetłumaczone, brzmieć powinno: „Oddaj wszystko, co masz, a ta reszta, to twoja!”

Z kapustą jeszcze gorzej, jak bowiem wiadomo, zjadły ją częścią gasienice, a to, co zostało, ajenci jakiegoś tam „Geosu” zakontraktowali już na wywóz w zachodnie strony. Należy więc pożegnać się z tak popularnymi dotąd u nas potrawami, jak: kielbasa z kapustą, bigos hultajski i t. p.

Słuszność zresztą sama wymaga, by, skoro kielbasę wywieziono z Krakowa na zachód, podążyła za nią i kapusta, by i Wiedeńscy mogli spróbować, czy to dobre, co nam tak smakowało.

Drugą zimową bolączką są węgle, o które również trudno się doprosić, choć Galicya ma ich stosunkowo dosyć, tak, że powinnyby właściwie pokryć jej zapotrzebowanie. Ale i z węglem dzieje się to samo, co z ziemniakami i kapustą. Czują ogromny: *Drang nach Westen* i także jadą na zachód.

Różni spekulanci mają podobno wcale ładne zapasy, ale na razie pochowane. Można je nawet nabywać, jeśli się ma znajomości i protekcję, ale na wagę złota. Miał rację ś. p. Maurycy Jokaj, nazywając je „czarnymi dyamentami”.

Nie mogąc się w zimowym czasie ogrzać przy piecu, nie mogąc tego uczynić w żadnym lokalu rozrywkowym, gdyż one w myśl rozporządzenia władz mają być nieopalone, należałoby bodaj ubrać się ciepło, ale i to przyjdzie każdemu z trudnością, skoro Centrala zajęła wszystkie prawie zapasy cieplejszej bielizny, a wierzchnie ubrania będzie można nabywać tylko na podstawie kartek. Chcąc, dajmy na to, kupić sobie nowe „uiewymowne”, musisz najpierw zdjąć stare, oddać je w odnośnym urzędzie, w zamian zaś otrzymasz kartkę, upoważniającą do sprawienia sobie nowej pary. Ponieważ zaś znamy dobrze pospiech urzędowy, nasuwa się mimowoli pytanie, co ma się robić w międzyczasie, to jest od chwili oddania starych, do nabycia nowych, zwłaszcza u osób, które tę niezbędną część okrycia dolnych sfer cielesnej powłoki posiadają tylko w jednym egzemplarzu. A takich jest ogromna większość.

O zimowym paltocie ani mowy. Dziś, przed wejściem w życie kart ubraniowych, cena takiej „okryjby”, i to bynajmniej nie w najlepszym gatunku, dochodzi już do tysiąca koron, jak będzie później, tego nikt nie wie. Ze krawcy za robotę żądają wprost bająskich sum, temu się i dziwić nie można, skoro za nici zwykłe płacić muszą po kilkanaście koron za zwijadełko, które dawniej kosztowało kilka halerzy. Także i guziki to rarytas, nie też dziwnego, że nie spotykamy już na przedmieściach grających w nie andrusów. O innych, tak zwanych „dodatках krawieckich”, musi się to samo powiedzieć. Ceny ich poszły w górę w sposób niebywały, handlarze zaś tłumaczą się, iż dlatego, że nowe transporty nie nadchodzą z zagranicy.

Pokazało się przecie, że i w Krakowie możnaby znaleźć nawet i większe zapasy tych artykułów, ale

trzeba umieć szukać. Niedawno odkryto przywoity magazyn nici, przechowywanych na późniejsze czasy, to jest, gdy będzie można wziąć za nie jeszcze więcej.

Jednym słowem, niema artykułu, potrzebnego koniecznie do życia, by nie stał się przedmiotem spekulacji niesumiennej jednostek. Powiadają wtajemniczeni, że jest w Krakowie dzielnica, gdzie każde prawie mieszkanie, to formalny magazyn najrozmaitszych towarów, nagromadzonych z istic mrówczą pracowitością. W miłej zgodzie znajdziesz tu wszystko, co potrzebne człowiekowi do zaspokojenia głodu i pragnienia, ubrania się, ogrzania, nawet przyjemności. Właściciele boją się tylko jednej rzeczy, to jest końca wojny, gdyż wówczas ceny spadną gwałtownie, a ich ominie zysk spodziewany. Nic też dziwnego, że „jaskółki pokojowe” nie są tam bynajmniej witane z radością, a każda z nich wywołuje nie mniejszy popłoch, jak ogłoszenie nowego „musterunku”. Władze są wobec tych, nie wiem, jak je nazwać, hyen, szakali, czy pijawek, bezsilne, tworzą one nader silną organizację, a umieją się tak urządzać, że tylko bardzo rzadko powinno się któremu noga i dostanie się tam, gdzie czeka go wypoczynek po trudach pracowitego żywota, to jest, w gościnne mury kryminału, którym się w Krakowie opiekuje święty Michał. Święty ów, choć patron Galicyi, a nie Krakowa, ma i w murach naszego grodu wielu, zasługujących na to, by się dostali pod Jego skrzydła.

Jeśli na dobitkę dodamy do tego okoliczność, że rozmaici goście, bawiący w Galicyi chwilowo, tak ją pokochali, iż starają się wywieźć z niej bodaj jakąś pamiątkę, a jako najodpowiedniejsze uważają artykuły spożywcze, które całymi wagonami mkną na zachód, możemy tylko zapłakać nad naszą mizeryą. Łzy ocierają nam wprawdzie obietnice, że będzie lepiej, ale jakoś się na to nie zanoszą.

Do tych cierpień, nazwijmy je fizycznymi, gdyż dotyczą głównie ciała, dołączają się obecnie i moralne, to jest obawa przed zapowiadaną coraz głośniejszą redukcją majątku prywatnego ogółu. Każdy, kto ma bodaj coś w swem posiadaniu, jest więc w strachu, że i tem będzie się musiał podzielić, równowagę umysłową zachowują jedynie ci, którzy nic nie mają. A do tych właśnie szczęśliwców zalicza się i kronikarz, operujący stale deficytem, nie mający więc nic przeciw temu, by go nawet w całości komuś odstąpić. Jedynym mym majątkiem jest Weronisia, ale skarby tego rodzaju nie podlegają redukcji, choć, gdyby do tego przyjsz miało, gotowy byłbym bez wahania do poniesienia nawet i tej ofiary. Inaczej natomiast zapatrują się na tą sprawę ci, którzy mają wiele, a nawet bardzo wiele. Ci, od czasu mowy ministra skarbu, barona Wimmera, który redukcję majątkową zapowiedział, łamią sobie głowy nad tem, w jaki sposób ulokować najpewniej swe kapitały, by z nich nic, a przynajmniej jak najmniej uronić. To też, zwłaszcza na Kazimierzu, który od czasu wybuchu wojny stał się krakowską dzielnicą milionerów, tylko o tem się mówi i nad tem się zastanawia.

Aby zaś na te wszystkie sprawy zapatrywać się trzeźwo i rozważać je „na zimno”, wydały czynniki miarodajne polecenie, iż przed dniem 16. października nie wolno opalać nawet i prywatnych mieszkań i to pod karą do dwudziestu tysięcy koron, która w szczególniejszych, zasługujących na to wypadkach, może znaleźć rekompensatę w odpowiedniej liczbie dni, jakie dany osobnik miałby odsiedzieć w furdymarni, naturalnie także nieopalonej. Miła perspektywa, na samo jej wspomnienie musi się człowiekowi zrobić gorąco.

Ponieważ zaś niebiosy raczyły właśnie teraz obniżyć temperaturę, marzniemy więc i z boleścią patrzymy na termometr, w którym rtęć, jakby na złość, zamiast iść w górę, ciągle opada, a odnośne czynniki zastanawiają się nad tem, czy nie należałoby, wobec braku węgla i innych materiałów opałowych, zaprowadzić na przeciąg zimowych miesięcy na wzór „letniego czasu” i „letnią temperaturę”, co dałoby się w ten sposób bardzo łatwo skutecznie, gdyby się, w czasie od 15. października do 15. kwietnia włącznie, przesunęło w termometrach słupek rtęci o dziesięć stopni ku górze. Możliwe także w tym samym celu zakazać wogóle używania termometrów, a wszelkie wzmianki kronikarskie o obniżeniu się temperatury z urzędu konfiskować. Nie wiadząc, ile stopni, nie narzekaliby ludziska, że im zimno. Z również dobrym skutkiem możnaby zastosować sposób, wprowadzony przez pewnego lekarza-specjalistę, który osiągnął znakomite skutki przy kuracji swych pacjentów alpejskim słońcem, wymalowaniem bardzo udatnie na suficie jego ordynacyjnego pokoju. Ludzie mają bardzo bujną fantazję, więc i taki słoneczny „Ersatz” mógłby ich zagrzać, skoro znane są ogólnie wypadki poważnego zaziębienia się przy czytaniu opisu podróży do bieguna północnego lub pobytu wśród śniegów i lodów Syberyi.

Każde mieszkanie należałoby więc zaopatrzyć z urzędu w takie sztuczne słońce, o wielkości, zależnej

od ilości głów, a sprawa opałowa byłaby rozwiązana. Najważniejsze, że tak zwane porażenie słoneczne byłoby wtedy chyba wykluczone (z wyjątkiem osób bardzo nerwowych i wrażliwych!...).

Nauczeni doświadczeniem, gdyby wojna w roku bieżącym nie miała się skończyć, powinniśmy w przyszłym, już w lecie pamiętać o zimie i, nie mogąc z powodu braku, gromadzić materiałów opałowych, zbierać bodaj ciepłe powietrze i w odpowiednich, szczelnie zamkniętych naczyniach przechowywać je na czas zimniejszy. Nadają się do tego szczególnie różnego rodzaju flaszki i beczki. Te ostatnie mają jeszcze tę dobrą stronę, iż, gdyby zawarte w nich ciepłe powietrze kogoś nie ogrzało, można beczkę porąbać i zapalić nią w piecu, gdy natomiast flaszki trzeba dopiero sprzedać, a za otrzymane pieniądze kupić drzewa lub węgli.

Bieda i potrzeba uczyć różnych wynalazków, obecna wojna ma też i dobre strony, gdyż, dzięki jej właśnie, nauczyliśmy się już różnych pożytecznych rzeczy, których receptę zostawimy naszym następcom, by z nich mogli skorzystać, gdyby, czego nie daj Boże, znaleźli się kiedyś w tak miłym, jak my dziś, położeniu.

Skoro mowa o dobrych stronach wojny, to warto wspomnieć o wojennym odkryciu geograficznym. Dowiedziałem się o tem z urzędowej *Gazety lwowskiej*, organu bardzo poważnego i prawie że nieomylnego, zwłaszcza w zakresie politycznym.

Otóż w Pirenejach istnieje najmniejsze ze znanych dotąd w świecie państw, wobec którego San Marino i Andorra są mocarstwami. Jest to rzeczpospolita Saint-Goust. Zajmuje ona jeden i pół kilometra kwadratowego, a liczy około sto trzydzieści głów. — Mieszkańcy żyją w miłej zgodzie, choć mają parlament, a wobec tego i wybory.

Prezydent republiki jest równocześnie sędzią i porywacz, ściągającym z ludności podatki (podatki — dowód europejskiej kultury!...). Siłę zbrojną stanowi jeden jedyny policyant. Parlament składa się z dwunastu członków, obieranych większością głosów na przeciąg lat pięciu. Kobiety mają również prawo głosu, nie tylko w domu, ale i przy wyborach, ale obieraniem być nie mogą, by pełnienie publicznych funkcji nie przeszkadzało im w wykonywaniu obowiązków domowych. Do tego czasu rzeczpospolita Saint-Goust zachowała najściślejszą neutralność w wojnie światowej, ale, co będzie w przyszłości, nie wiadomo. Kto wie, czy nie przeleknę się blokady państw neutralnych bez wyjątku, projektowanej przez Amerykę, i nie oświadczy się otwarcie za koalicję, oddając jej swe siły zbrojne do dyspozycji.

W celu przeprowadzenia tej blokady, skierowanej przeciw państwom centralnym, głównie zaś Niemcom, proponuje Wilson utworzenie osobnego wydziału handlowego wojennego pod nazwą *Trade Enemy Act*. Ma on mieć za zadanie uniemożliwienie wszelkich umów handlowych z neutralnymi, z wyjątkiem tych, którzy zobowiążą się zerwać wszelkie stosunki z Niemcami.


Czy rzeczpospolita Saint-Goust przeleknę się tej *Enemy*, zobaczymy w dalszym ciągu, ale może się obejść bez jej pomocy, skoro koalicja podobno gromadzi kolosalne siły zbrojne, przygotowując akcję rozstrzygającą, która ma położyć kres wojnie.

Jacy oni pocziwi!... Do jakich poświęceń są zdolni, byle tylko zapanował raz przeciw upragniony pokój!...

Europa ma wojny już dość, energii swej nie mogli natomiast dotąd wyładować na zewnątrz Amerykanie, bardzo wojowniczo usposobieni, nie też dziwnego, że, nie mając innego wroga pod ręką, wzięli się do sufrażystek.

Donoszą z Waszyngtonu, że tłum mężczyzn, prowadzony przez najwybitniejszych obywateli, żołnierzy i marynarzy, urządził najazd na kwaterę sufrażystek, gdzie poniszczono sprzęty, zdarto flagę, a członkinie partii obrzucono zgniętymi jajami i pomidorami, nie które nawet dotkliwie poturbowano. Powodem była demonstracja niewiast pod wodzą pani Dexter Otey przed „Białym Domem”. Nazwały Wilsona autokratą i żądały dla siebie więcej wolności, ale to się poci brzydkiej widocznie nie podobało i stąd awantura, przy której interweniowała policja i Towarzystwo ratunkowe.





## Piękne kształty

pełny i piękny biust  
osiągnięty delikatnie i wale  
zbudowane pannie i dziewczęta  
przez **Hobose** (prawie o-  
chronione). 1 doza opłatnie  
K 9-30. **L. Vertes**, apłeka  
pod orłem, **Lugos** Nr. 741.

